

# Czterdzieści i cztery

Przesłanie: Teatr Narodowy chce być pierwszym teatrem Polski i pod nową dyrekcją wziął z miejsca takie tempo, by temu zadaniu jak najprędzej sprostać. A jego główny reżyser Krystyna Skuszanka postarała się, by ją nazwać najodważniejszym z polskich inscenizatorów, i na inaugurację nowego etapu w życiu TN przedstawiła najdziwniejszy dramat polskiej szkoły romantycznej „monologię” (tak swój utwór autor określił) „Zwolon” Cypriana Kamila Norwida. Wydarzenie teatralne? Na pewno tak. Wielka rewizja na parnasie polskim? Niestety, nie. Teatr zrobił wszystko chyba, co mógł, by wskrzesić zmarłego, który kazał się żywcem zamurować. Lecz prawa natury są nieubłagane.

Trzeba więc o tym świetnym, choć arcydziwnym wydarzeniu pomówić tak otwarcie, jak temat tego wymaga. Przedstawienie jest piękne i Skuszanka znowu pokazała w nim swoją klasę reżyserską. Oglądałem „Zwoloną” dwukrotnie, i oba razy z niesłychaną uwagą: ale jako, bądź co bądź, zawodowiec. Mam pełne uznanie dla roboty reżysera i całego zespołu, dla mądrze stylowej i norwidowskiej z ducha scenografii (Krzysztofa Pankiewicza), dla nastrojowej muzyki (Adama Walasińskiego)... I dla poszczególnych aktorów tego misteryjnego widowiska, w którym każdy, podporządkowując się zbiorowości, chciał jednak zaznaczyć swą indywidualność i własne działania sceniczne – że wymienię choćby tylko Krzysztofa Wakulińskiego (który wydał mi się bardziej „romantyczny” niż grający z nim na zmianę tytułowego Zwolona Tomasz Budyta) oraz dwu Wojciechów: Brzozowicza, podkreślającego ostro sarkazm Norwida (w roli Zaborę, prezesa ministrów) i Siemiona (jako populistycznego działacza Szoloma)... Tyle słów głębokiego, gorącego uznania dla wysiłku teatru, podjętego w arcyślachetnym i godnym celu wzbogacenia zespołu arcydzieł polskiego teatru romantycznego – nie może jednak zmienić mego przekonania, że ten podziwu godny trud poszedł, bo nie mógł nie pójść, w pewnym sensie na marne.

Bo trzeba sobie tutaj powiedzieć z całą szczerością: Norwid był (bywał) wielkim, a nawet genialnym poetą i miejsce swoje wśród romantycznych wieszczów zajął na wieki.

Ale wielkim dramatopisarzem nie był, choć nie raz jeden próbował swoich sił i w tragedii, i w komedii. Nawet najlepsze jego dramaty nie przebijają się do publiczności przez sztuczny język i zawilść myśli, przez brak scenicznego instynktu i doświadczenia. I nawet najlepsza z jego poetyckich komedii (nieraz grywany „Pierścień wielkiej damy”) rozbija się o taśmę naiwności odludka, oddalonego od spraw świata tego. Norwid, tak porywający, wspaniały nieraz i mądry w wielu wierszach i poematach lirycznych, na scenie staje się sztuczny, retoryczny i po prostu niezrozumiały. Dopiero w lekturze odzyskują, miejscami, te teksty walory jego pisarstwa.

Przekonała się o tym i Skuszanka, wystawiając „Zwoloną”. Dawała sobie ona radę nawet z tak trudnymi zadaniami jak unowocześniona inscenizacja „Lilli Wenedy”. Ale Norwid to jednak nie Słowacki. A w dodatku ów „Zwolon” to jedna z najsłabszych prób teatralnych autora „Vade mecum”. Przyznaje to półgębkiem nawet tak zaprzysiężony wielbiciel teatru Norwida jak Kazimierz Braun, autor książki „Cypriana Norwida teatr bez teatru”. Skuszanka, co prawda, jest innego zdania: „to jeden z najbardziej niezwykłych, fascynujących dramatów naszej literatury” powiada o „Zwolonie” i dodaje „gdzie szukać lepszego zwierciadła naszego czasu?” Niestety, nie udowodniła tych tez swoim przedstawieniem, mimo że wszystko jest tu jak przystało misteryjnemu teatrowi romantycznemu: i katedra gotycka, i golgota z trzema krzyżami, i sława na ruinach, a scenę wypełnia tłum zbuntowany i rozmodlony, procesja i feretrony, a także spiskujący inteligenci, w pelerynach, cylindrach i zamaskowani. Bowiem i o tym musimy pamiętać, że Norwid cierpiał tutaj pełnymi garściami z Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, całej Wielkiej Trójcy.

Wielu najbardziej ambitnych reżyserów – do których teraz dołączyła Skuszanka, i poniekąd jej się nie dziwię – zmagalo się z teatrem Norwida i usiłowało go spopularyzować na scenie, tak Horzyca, Dejmek i – najobficie – Braun, i Kulczyński, Broniewska, od Osterwy i Limanowskiego poczynając. I komu się udało w pełni, no, komu? Sztuki Norwida to jak „Niedokończony poemat” Krasińskiego, jak „Agezylausz” Słowackiego, jak kadłubowi „Konfederaci Barscy” samego Mickiewicza: nie są to zapomniane utwory, ale jednak tylko wyjątkowo obecne na deskach scenicznych (lub prawie nigdy, tak jak „Zwolon” przez 135 lat). Wielki poeta Norwid nie był i nie będzie wielkim i częstym gościem na polskich scenach. Nie ma po temu warunków. Taka jest prawda. Pisałem już o tym przed laty, i nie raz jeden. Nowe doświadczenie ze „Zwolonem” nie mogło zmienić tego zdania.